



Michał Lubina

Chiński obwarzanek

Od Tajwanu po Tybet,
czyli jak Chiny tworzą imperium



Świat pełen jest wyrw, załamów, pęknięć – zarówno tych fizycznych, jak i niewidocznych gołym okiem szczelin rzeczywistości. Aby móc docierać do tego, co niepoznane, stworzyliśmy Szczeliny, poświęcony literaturze faktu imprint Wydawnictwa Otwartego. Pragniemy zrozumieć otaczające nas zjawiska, dlatego oddajemy głos ekspertom, którzy najlepiej potrafią wytłumaczyć zawłości współczesnego świata.

Michał Lubina

Chiński obwarzanek

Od Tajwanu po Tybet,
czyli jak Chiny tworzą imperium



SZCZELINY

Kraków 2023

Copyright © by Michał Lubina

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2023

Opieka redakcyjna: Rafał Czech

Redakcja tekstu: Agnieszka Rzonca

Konsultacja merytoryczna: prof. dr hab. Bogdan Góralczyk,
dr Adrian Brona, Tomasz Śniedziewski (rozdział tajwański)

Wnętrze – projekt graficzny serii: Wydawnictwo Otwarte

Adiustacja: Mirosław Dąbrowski / Wydawnictwo JAK

Korekta: Maria Armata / Wydawnictwo JAK,

Janina Burek / Wydawnictwo JAK

Łamanie: Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK

Okladka – projekt graficzny serii: Łukasz Piskorek

Adaptacja okładki na potrzeby niniejszego wydania: Monika
Drobnik-Słocińska

Fotografia na okładce: Lintao Zhang / Getty Images

ISBN 978-83-8135-349-6



SZCZELINY

Zajrzyj do Szczelin!

szczeliny.pl

facebook.com/szczeliny

instagram.com/szczeliny

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Magdzie i Józefowi

Słowo wstępne

Co jest podzielone, będzie zjednoczone.

Luo Guanzhong, *Dzieje Trzech Królestw*

„Tajwan jest częścią Chin!” – powie niemal każdy Chińczyk z kontynentu, od oficjeli po zwykłych ludzi. Niezależny Tajwan to ropiejąca rana, przypominająca Chińczykom o podziale ich kraju, a szerzej – o „stu latach państwowego upokorzenia”, półkolonialnej podległości z lat 1842–1949. Państwo Środka już odzyskało utraconą wówczas twarz. Chiny dokonały fenomenalnego skoku cywilizacyjnego, wyciągając z biedy setki milionów ludzi i stając się drugim supermocarstwem globu. Obecnie zaś zmierzają do „wielkiego odrodzenia narodu chińskiego”, czyli zajęcia należnego im, ich zdaniem, centralnego miejsca na świecie. Przeszkadza jedynie samodzielny Tajwan. Inne kolonialne rany, Hongkong i Makau, udało się „zaleczyć”, stosując mniej lub bardziej (jak w przypadku Hongkongu) bolesną kurację polityczną. Już wcześniej „naprawiono historyczne krzywdy”, zajmując Ujgurię, Tybet, Mandzurię i połowę Mongolii (druga połówka „chwilowo” się wyrwała).

Chiński obwarzanek: od Tajwanu po Tybet, czyli jak Chiny tworzą imperium to opowieść o „niechińskich” Chinach, mających specyficzne relacje i zaszłości z władzami w Pekinie, czyli o Tajwanie, Hongkongu, Makau, Ujgurii, Tybecie, Mandżurii i Mongolii, obszarach już podbitych przez Chińską Republikę Ludową bądź będących na krótkiej liście do podporządkowania. Część tych terytoriów jest silnie związana z Chinami, inne mniej, ale każde z nich było kiedyś częścią Państwa Środka, a w chińskim myśleniu co raz stało się Chinami, powinno już nimi pozostać na zawsze. Chińskie kresy to wieloetniczne obrzeża i rubieże leżące z dala od serca kraju, politycznie drugorzędne, a jednak emocjonalnie bardzo ważne dla Chińczyków.

Takie obszary traktowano kiedyś w Państwie Środka jako trzecią strefę, krąg pacyfikacji. Pierwsze dwie strefy tworzyły chińskie centrum, stopniowo rozszerzające się na kolejne obszary. Wchłaniające je i poddające coraz silniejszym chińskim wpływowi, zgodnie ze starym, wielowiekowym sinocentrycznym wzorcem budowy imperium, polegającym na narzuceniu wszystkim politycznej i kulturowej ortodoksji w oparciu o silną chińską tożsamość, łamaniu oporu słabszych ludów i osadnictwie chińskim na peryferyjnych obszarach. To wszystko mocniej wiąże kresy z centrum, uspokaja / pacyfikuje (po chińsku to ten sam znak), by ustanowić oparty na hierarchii harmonijny ład, z Chinami na szczycie.

Współcześni komunistyczni gensekowie są wierni podejściu Sun Jat-sena, politycznego ojca republikańskich

Chin i dziadka Chińskiej Republiki Ludowej, pragnącego uczynić Chiny znów wielkimi. Wśród terytoriów, które Państwo Środka miało niesprawiedliwie stracić, Sun wymienił kiedyś między innymi Tajwan, Peskadory, japońskie wyspy Riukiu, Koreę, Wietnam i Birmę, a także (jako obszary holdownicze) Nepal, Bhutan, Tajlandię, Borneo, Jawę i Sri Lankę. Słowem, miał rozmach. Obecnie Chiny nie przejawiają ambicji, żeby podbić czy podporządkować sobie te wszystkie obszary, przynajmniej nie od razu. Imponująca „lista Sun Jat-sena” to bardziej symbol pewnej wyobrażonej idealnej przeszłości: *tianxia*, Wszystkiego pod (chińskim) Niebem.

Jeśli wziąć to pod uwagę, obecne działania Xi Jinpinga są zrozumiałe, wręcz logiczne. To nie wyłącznie jego żądza władzy i zniewolony przez komunizm umysł (czyli wyjaśnienie w duchu „bo to zły człowiek jest”) mają wpływ na taką, a nie inną politykę Pekinu. Brutalnie centralizujący i ujednocający Chińską Republikę Ludową Xi postępuje zgodnie z odwiecznym sinocentrycznym wzorcem budowy imperium. Odróżniają go współczesne środki realizacji mocarstwowego marzenia, a nie cel.

Xi, podobnie jak wcześniej Sun Jat-sen, Mao Zedong czy Deng Xiaoping, chce przywrócić Chinom centralne miejsce w świecie. To bardziej podejście emocjonalne niż rozpisana na wieki strategia. Wsluchując się w głosy dochodzące z Chin na temat preferowanego porządku międzynarodowego, między innymi w hasła o „wspólnym przeznaczeniu ludzkości”, „moralnym

realizmie” czy „harmonizującym wszystkie narody systemie *tianxia*”, można dojść do wniosku, że Chiny nie tyle mają konkretny plan podboju świata, ustanowienia Pax Sinica, ile uznają swój globalny prymat za stan idealny, za pożądaną normę. Jeśli Chiny są na pierwszym miejscu, to wszystko jest na swoim miejscu. Inny układ to anomalia.

Chociaż nie istnieje chiński plan podboju świata, to marzenie o Wielkich Chinach ma bardzo namacalne następstwa dla ChRL. By móc przywrócić należne miejsce w świecie, potrzeba jedności wewnętrznej, zwania szeregów, scalenia rubieży, by nie stały się miejscem obcej dywersji. Sinocentryzm i imperialna tradycja Chin zakładają konieczność unifikacji kolejnych rozchodzących się od chińskiego rdzenia kręgów w celu jednoczenia i wzmacniania państwa. Ono musi być silne, by przetrwać, dać odpór zewnętrznym wrogom, zapewnić ład i harmonię. Chińska, ściślej konfucjańskolegistyczna tradycja jest głęboko państwowotwórcza, hierarchiczna i centralizująca, co zawsze dobrze służyło władzy, autokratom, tyranom i urzędnikom, a mniej podmiotom ulokowanym na niższych szczeblach. Stały – i trwały – jest też podział na centrum (czyli Chiny, Państwo Środka) oraz ościennych i dalszych „barbarzyńców”, który zawiera w sobie daleko idące konotacje i konsekwencje cywilizacyjno-kulturowo-polityczne. Chińczycy są w środku, są źródłem cywilizacji, a skazani na powielanie chińskich wzorców barbarzyńcy powinni to zrobić dla własnego dobra.

To wielowiekowe podejście każe widzieć w niezależności i autonomii rubieży niebezpieczeństwo podziału, mogące doprowadzić do upadku całego Państwa Środka. Słabość okazana na kresach może się zemścić w centrum, dlatego trzeba sposobem, a jak się nie da, to ogniem i mieczem jednoczyć obszary kolejnych rozszerzających się koncentrycznie kręgów. Tylko Chiny zjednoczone i ujednoczone pod wielkohanowski, czyli wielkochiński wzorzec mogą udanie przejść „Nowy Długi Marsz”, stać się pierwszym mocarstwem globu. Dla niechińskich kresów oznacza to współczesną, lokalną wersję znanego nam hasła: „Żadnych marzeń, panowie”.

„Co jest podzielone, będzie zjednoczone”, głosi pierwsza połowa najsłynniejszego zdania z *Dziejów Trzech Królestw*, klasycznego utworu chińskiej literatury, i takie jest właśnie podejście Chińczyków do peryferii i kresów.

W swojej poprzedniej książce *Niedźwiedź w objęciach smoka: jak Rosja została młodszym bratem Chin*, która ukazała się w Szczelinach w 2022 roku, przybliżyłem meandry stosunków rosyjsko-chińskich. Teraz proponuję opowieść o budowie współczesnego chińskiego imperium na przykładzie kresów już podporządkowanych (Hongkong, Makau, Ujguria, Tybet, Mandżuria, Mongolia Wewnętrzna) bądź następnych w kolejce (Tajwan, Mongolia Zewnętrzna). Jest to spojrzenie na Chiny nie z centrum, jak zwykle się czyni, lecz z rubieży. To tak,

jakby patrzeć na Rosję oczami Polaków, Ukraińców, Kazachów czy Uzbeków. Chiny mają rzecz jasna bardzo odmienny od Rosji styl, podobnie jak od innych mocarstw, chociażby współczesnego imperium amerykańskiego, nie różnią się wszakże od nich w kwestii podstawowej, czyli chęci podboju i dominacji.

Drugi raz ma przewagę nad pierwszym zdobytym doświadczeniem, jestem więc teraz bogatszy o reakcje Czytelniczek i Czytelników na moją poprzednią książkę. Docierające do mnie recenzje i opinie świadczą, że zdecydowana większość polubiła popularnonaukową formę, zastosuję ją więc jeszcze raz. Piszę tu prostym językiem o skomplikowanych sprawach, styl narracji celowo jest gawędziarski, miejscami potoczny, z aluzjami i mrugnięciami okiem do czytających, mający z założenia przedstawić trudne zagadnienia w przystępny sposób. Książkę wzbogacam relacjami z pobytu we wszystkich opisywanych tu miejscach. Od kiedy po raz pierwszy dotarłem do Chin w 2006 roku, odwiedziłem większość obszarów Państwa Środka. Nauka, a następnie praca (od 2014 roku) na Uniwersytecie Jagiellońskim były dla mnie bezcenne merytorycznie w poznawaniu Chin. W Pekinie mieszkałem, będąc na stypendium naukowym (2009–2010), podobnie w Tajpej (2022). Dwanaście lat pracy w turystyce (2008–2020) pozwoliło mi nie tylko pozostać w akademii i sfinansować moją karierę naukową, lecz również zorganizować i poprowadzić prawie dwadzieścia wypraw trampingowych do niemal wszystkich części Chin. To dzięki temu mogłem dotrzeć chociażby do Tybetu czy trzykrotnie

do Ujgurii, o regularnych pobytach w Hongkongu czy Makau nie wspominając.

Każdemu z kresów poświęcam jeden rozdział, zaczynając od najbardziej aktualnego i emocjonalnie najistotniejszego dla Chińczyków Tajwanu. Później opisuję, każdy inaczej, Hongkong i Makau, by w kolejnych rozdziałach przejść do terenów historycznie i etnicznie niechińskich. Pierwszym jest Xinjiang (Sinciang), czyli Ujguria, ziemie muzułmańskich Ujgurów (nie) sławne ostatnio na świecie z powodu chińskich represji. Następnie, w rozdziale najbardziej nasyconym opisem przeszłości, omawiam Tybet, niegdyś najbardziej znany przykład chińskiego imperializmu, dziś tracący na popularności. Potem przybliżam trochę zapomnianą Mandżurię, by skończyć na bardzo specyficznej Mongolii. Pracę wieńczy obszerne podsumowanie, w którym omawiam kontekst, od sinocentryzmu po *Zhonghua minzu*, pozwalający zrozumieć chińskie postawy i zachowania. Staralem się te bardzo skomplikowane sprawy przedstawić w jak najprostszy sposób, jednak zakończenie może się okazać bardziej wymagające w lekturze niż pozostałe części książki.

Podobnie jak w *Niedźwiedziu w objęciach smoka*, przypisy w tej książce to kot Schrödingera: jednocześnie są i ich nie ma. Wymieniłem wszystkie odnośniki do prac, z których korzystałem, i do myśli innych osób, które wykorzystałem, jednak dziennikarskim sposobem, by nie odstraszać Czytelniczek i Czytelników nieceniących formy naukowej, przerzuciłem je na koniec książki i omówiłem opisowo. Chociaż jest to pierwsza

na polskim rynku książka zbiorowo opisująca chińskie kresy, to akurat o każdym z tych obszarów wiele już napisano, choć zazwyczaj są to niszowe, akademickie prace. Zainteresowany pogłębieniem tematu Czytelnik w rozdziale zawierającym przypisy i bibliografię znajdzie potrzebne odnośniki.

Książkę pisałem w latach 2022–2023 w Krakowie, Warszawie, Tajpej, Ołomuńcu i Bratysławie, a poprawiałem w Nagoi, przebywając w czterech ostatnich miastach na stypendiach i stażach naukowych. Starłem się sprawdzić wszystkie dane i fakty, dałem też tekst specjalistom do merytorycznych konsultacji, swoich wewnętrznych recenzji. Jednakże nie ma książek doskonałych i bezbłędnych. Wszelka odpowiedzialność za uchybienia i niedopatrzona spada wyłącznie na mnie.

Tajwan

Naj(nie)bezpieczniejsze miejsce na ziemi

„Oszalałeś?! – mówili. – Pakujesz się w sam środek rozpoczynającej się trzeciej wojny światowej, i jeszcze żonę i małe dziecko w to wciągasz”. Rodzina, krewni, znajomi odradzali, apelowali, prosili: „Nie jedź”. A potem nerwowo sprawdzali międzynarodowe wiadomości, tylko utwierdzając się w obawach. Pewna osoba z najbliższej rodziny zadeklarowała, że „jak tylko się zacznie”, to ona opłaci nam podróż powrotną pierwszym samolotem, bylebyśmy się stamtąd wydostali.

Wylatywałem na Tajwan 2 sierpnia 2022 roku, akurat wtedy, gdy na wyspę dotarła Nancy Pelosi, ówczesna spikerka Izby Reprezentantów USA, co wywołało „czwarty kryzys” w Cieśninie Tajwańskiej. Zgodnie z oczekiwaniami ChRL zareagowała gniewnie. Prosząc i grożąc, Pekin starał się nie dopuścić do wizyty. Xi Jinping osobiście apelował do Joe Bidena, by ten wpłynął na Pelosi, niżsi rangą urzędnicy przestrzegali, cytując starożytnie *chengyu*: „Zawróćcie konia znad przepaści”

(*xuan ya le ma*); sinolodzy spieszyli z wyjaśnieniem, że gdy Chińczycy używają akurat tego przysłowia, robi się poważnie. Stanowcze wypowiedzi Pekinu wzmacniały pokutujące opinie o Tajwanie jako „najniebezpieczniejszym miejscu na ziemi”, w którym najpewniej rozgorzeje konflikt amerykańsko-chiński. A wszystko to odbywało się w kontekście trwającej wojny rosyjsko-ukraińskiej. To dlatego wizyta Pelosi i jej możliwe reperkusje skupiły uwagę mediów na całym świecie. Dziennikarze, analitycy, a szczególnie geopolityczni influencerzy wieszczycy wybuch konfliktu globalnego, niemalże wyczekując trzeciej wojny światowej.

A ja wlatywałem w polityczne oko cyklonu. Uzytkowski stypendium naukowe rządu Republiki Chińskiej, przeprowadzałem się na cztery miesiące na Tajwan i była to prawdziwa operacja logistyczna. Wyjazd z żoną i niemowlakiem, z wózką, bagażami i innymi tobołami nawet w normalnych warunkach stanowi wyzwanie. A te normalne nie były. Wciąż trwała pandemia, Tajwan utrzymywał silne restrykcje przeciw-covidowe, z testami przed lotem i po, obowiązkową kwarantanną i samoizolacją oraz zakazem wjazdu obcokrajowców; na naszych wizach wielkimi literami napisano „specjalne pozwolenie”. Wraz z chaosem panującym w liniach lotniczych dawało to prawdziwie koszmarną mieszankę wybuchową. Jeden lot nam odwołano, drugi przełożono, a kiedy stawiliśmy się na bramkach do odprawy na trzeci, dowiedzieliśmy się, że nasze bilety anulowano. Wreszcie wylecieliśmy, grubo tydzień po terminie. Wymęczeni problemami, lotami,

długim czasem oczekiwania na przesiadkę i trzygodzinnym przechodzeniem drobiazgowych formalności przeciwpandemicznych po przylocie, o uspokajaniu dziecka i tachaniu betów nie wspominając, dotarliśmy do kwarantannowego hotelu wręcz z ulgą. Nie mieliśmy zbyt wielu okazji, by martwić się kryzysem politycznym. Jak człowiek przeprowadza się z niemowlakiem na drugi koniec świata, to nie ma czasu myśleć o trzeciej wojnie światowej.

Tymczasem atmosfera w Cieśninie Tajwańskiej gęstniała. Dotarliśmy akurat wtedy, gdy Pelosi odlatywała. W odpowiedzi na jej wizytę Chiny wystrzeliły rakiety, które przeleciawszy nad wyspą, spadły do morza, w tym niedaleko Japonii, co tylko pogorszyło atmosferę. Równoległe ChRL rozpoczęła największe w historii manewry wojskowe wokół Tajwanu, symulujące zarówno blokadę wyspy, jak i inwazję. Miały trwać tydzień, lecz zostały przedłużone. Towarzyszyła temu wojownicza retoryka Pekinu, zawieszenie konsultacji wojskowych z USA i współpracy z Amerykanami w wielu dziedzinach, takich jak zmiany klimatyczne, bezprecedensowe ataki *ad personam* pod adresem tajwańskiej prezydentki czy sankcje gospodarcze przeciw wyspie, w tym zakaz eksportu piasku oraz importu dwóch tysięcy tajwańskich produktów spożywczych. Z odległości prawie dziewięciu tysięcy kilometrów dzielących Polskę od Tajwanu wszystko to rzeczywiście mogło wyglądać groźnie.

Tymczasem na wyspie panował pełny spokój. „Czy mam budzić dzieci na jutrzejszy lot o szóstej rano? Czy i tak go odwołają z powodu ćwiczeń chińskiej

floty?” – pytała na jednym z tajpejskich forów rodzicielskich pewna matka, bardziej rozeźlona niż wystraszona. „Straszą nas, od kiedy miałem dziewięć lat” – opowiadał dziarski osiemdziesięciolatek w reportażu Bailing, tajwańskiego podcastu internetowego. „Nie ma się czego bać – usłyszała profesorka Anna Rudakowska, wykładowczyni na uniwersytecie Tamkang, od dawna mieszkająca na Tajwanie, gdy przyjechawszy do Polski na wakacje przekazywała Tajwańczykom obawy swojej polskiej rodziny w związku z jej powrotem na wyspę. – Naprawdę nie ma się czego obawiać. Liczba zarażonych COVID-19 ciągle spada”.

W sierpniu w najlepsze trwały wakacje i Tajwańscy nie zamierzali sobie psuć urlopu. Na Dongyin, jednej z wysp archipelagu Matsu – rząd w Tajpej kontroluje obok głównej wyspy Tajwan jeszcze sześć pomniejszych wyseppek i grup wysp – jak co roku odbywał się paramilitarny festiwal biegów z przeszkodami. Po wysiłku uczestnicy bawili się pod gołym niebem do białego rana, w dyskotekowej atmosferze imprezy z bąbelkami wystrzeliwanymi przez sztuczne armaty. Działo się to 50 kilometrów od wybrzeży ChRL, w razie czego na pierwszej linii tajwańskiej obrony. Równie spokojnie było na innych wyspach: na oddalonej od ChRL o ledwie 5 kilometrów Jinmen czy na tropikalnej Liuqiu, od której w odległości zaledwie 10 kilometrów ćwiczyło pół chińskiej floty. Zresztą manewry stały się na Tajwanie swoistą atrakcją turystyczną. Tam, gdzie było wystarczająco blisko, by dostrzec chińskie statki, ludzie wyszli je pooglądać i porobić im zdjęcia.

Przez cały czas trwania „czwartego kryzysu” Tajwan funkcjonował tak jak zwykle. Urzędy, banki, sklepy i restauracje pracowały w normalnym trybie. Komunikacja wewnętrzna, samoloty i promy, w tym na zewnętrzne wyspy i za granicę, kursowały zgodnie z harmonogramem lub z niewielkimi opóźnieniami. Wspomnianej matce z forum doradzono, by obudziła dzieci i pojechała na lotnisko, bo lot na pewno się odbędzie – i tak rzeczywiście było. Gdy po kilku dniach wyszedłem na pierwszą przepustkę z kwarantanny, zobaczyłem w Tajpej ludzi cieszących się wolną niedzielą, zatłoczone sklepy i galerie handlowe, staruszków w parkach ćwiczących i grających w gry. Ximending, główny deptak Tajpej, i bulwary nad rzeką Danshui wieczorami wypełniały się tłumami. Życie toczyło się codziennym trybem, nikt nie wykupywał ryżu ani nie rezerwował biletów, by wylecieć z wyspy. Gdyby ktoś dotarł na Tajwan, nie śledząc wydarzeń w dziennikach, mógłby w ogóle się nie zorientować, że jest jakiś kryzys.

Tajwańskie media, owszem, informowały o sytuacji politycznej. Był to pierwszy, choć nie jedyny, temat w telewizji, prasie i na portalach internetowych. Bardziej przejmowano się jednak groźbami wysadzenia zajętej przez Rosjan elektrowni atomowej w Zaporozżu. Serwisom informacyjnym towarzyszyły pokrzepiające filmiki z uzbrojonymi tajwańskimi żołnierzami, latającymi myśliwcami i pływającymi okrętami wojennymi, a także spokojne, zrzucające na Pekin winę za „łamanie *status quo*” orędzie prezydentki Tsai Ing-wen. Tajwańscy komentatorzy wyśmiewali chińskich

agitatorów: Hu Xijina, niegdyś redaktora naczelnego głośnego i bojowego dziennika „Global Times”, bo straszyl zestrzeleniem samolotu Pelosi, i okazało się, że prawdziwego propagandystę poznajemy nie po tym, jak zaczyna, ale jak kończy, czy Hua Chunying, rzeczniczkę MSZ, która dowodziła przynależności Tajwanu do Chin za pomocą... liczby chińskich restauracji w Tajpej. „A to Pekin należy do Kentucky, skoro jest w nim mnóstwo KFC?” – śmiano się. Styl wypowiedzi Chińczyków z kontynentu zabawnie podsumowali duchowni z pewnej świątyni w dzielnicy Luzhou w Tajpej. Z okazji nadchodzącego święta duchów sparafrazowali partyjny slogan „Na świecie są tylko jedne Chiny”, wywieszając stylizowany na komunistyczną propagandę baner: „W roku jest tylko jedno święto duchów”.

Równolegle poza wyspą alternatywna rzeczywistość medialna żyła własnym życiem. Zagraniczne agencje i telewizje wysyłały na Tajwan korespondentów, oczekując relacji na żywo z rozpoczynającego się konfliktu. Spędzili oni w Tajpej tyleż miłe, co zawodowo frustrujące dni w daremnym oczekiwaniu na wojnę. Przez cały sierpień dziennikarze z kraju z mediów tradycyjnych i internetowych ciągle prosili mnie o wywiady i komentarze. Niezmiennie psulem im zabawę, mówiąc, że nic się nie dzieje. Moje wpisy na Twitterze i Facebooku pokazujące tajpejczyków nieprzejmujących się chińskimi manewrami, spokojnie spędzających czas na robieniu zakupów i spacerach po deptakach i bulwarach, często opatrywano komentarzami przyrównującymi tę nonszalancję do postawy

kijowian w przededniu 24 lutego 2022 lub do sierpnia 1939 roku w II RP.

Potem zainteresowanie osłabło, wizyta Pelosi, dyplomatycznie i politycznie istotna (analizuję ją w dalszej części rozdziału), przestała być wydarzeniem numer jeden regionu, chińskie manewry po cichu się zakończyły. Nastąpiła stabilizacja niestabilności w Cieśninie. Wybuch trzeciej wojny światowej na chwilę odłożono. Im dłużej mieszkaliśmy na wyspie, tym bardziej perspektywa chińskiej inwazji zdawała się abstrakcją. Przez następne miesiące z rosnącym zdziwieniem odbierałem telefony od dziennikarzy informujących o chińskich naruszeniach tajwańskiej strefy identyfikacji obrony powietrznej (ADIZ) i proszących o komentarz w duchu „czy już się zaczęło?”. Przecież Chińczycy ciągle prowokują, raz bardziej, raz mniej. A to atak cybernetyczny, a to naruszenia ADIZ. Kolejny incydent w Cieśninie Tajwańskiej? Dzień jak co dzień.

Tymczasem Tajwan okazał się świetnym miejscem do życia. Mili, życzliwi, uczciwi ludzie, sprawnie działające instytucje, dobrze zorganizowana komunikacja publiczna, bezpieczeństwo osobiste na wysokim poziomie – pod tym ostatnim względem Tajwan to jedno z najbezpieczniejszych miejsc do życia na ziemi. Mieszkaliśmy koło kampusu, kilka minut od bulwarów nad rzeką, kwadrans pieszo do metra, piętnaście minut spacerem na herbaciane wzgórza Maokong. Żyć nie umierać! A do tego dużo udogodnień dla rodziców z dziećmi. Metro, kolej, przejścia naziemne

i podziemne dostosowane, wszędzie windy – to nie Dworzec Centralny w Warszawie, nie trzeba tachać wózka po schodach, a do tego w metrze miejsca do przebrania niemowlaka, w składach osobne miejsca do siedzenia, podjazdy na chodnikach, sklepy i restauracje bez progów, liczne place zabaw (z hydrantami do umycia się). No i Tajwańczycy. Choć nasz synek zapomniał już wiele chińskich słów, to jedno utkwilo mu w pamięci, wciąż na nie reaguje: *ke ai!* (jaki uroczy!), bo tak zwracali się do niego niemal wszyscy nieznajomi.

Jedyne, co przeszkadzało, to częsty deszcz, naprawdę mieliśmy już serdecznie dość tajfunów. A jeszcze bardziej trzęsień ziemi – mieszkając na szóstym piętrze, źle na nie reagowaliśmy. W przeciwieństwie do osiadłych na wyspie znajomych. „A to było jakieś trzęsienie ziemi?” – pytała swoją córkę nasza koleżanka wracająca z pracy na drugim krańcu Tajpej, słysząc o naszych obawach. „A tak, było” – odparła ze spokojem dziewięciolatka. „Czemu mi nie powiedziałaś?”. „Po co miałam ci mówić?” – zdziwiła się dziewczynka, pytana o jakieś głupoty. Mieszkaliśmy za krótko, by się do nich przyzwyczaić, podobnie jak do ciągłych opadów. Mógłbym dodać jeszcze kilka pomniejszych uciążliwości, jak przestarzały system bankowy, brak koszy na śmieci na ulicach czy przesadny reżim sanitarny, ale groźba chińskiej inwazji do nich nie należała.

Tymczasem im dłużej przebywałem w Tajpej, tym częściej dostrzegałem lustrzane odbicie wojennego panikarstwa z początku wyjazdu. „Czy na pewno chcesz wracać do Polski, kraju, w który może uderzyć bomba

atomowa?” – dopytywali Tajwańczycy we wrześniu i październiku 2022 roku. „Słyszałeś, europejskie rządy wykupują leki popromienne, coś się szykuje!” A gdy 15 listopada, na kilka dni przed powrotem do kraju, na Przewodów spadła rakieta, tajwańscy znajomi upewniali się z troską: „Czy na pewno chcesz tam wracać? Masz jeszcze chwilę czasu, przemyśl to!”.

„Demokratyczne chipy”

Faworytem w rankingu typowanych miejsc wybuchu trzeciej wojny światowej Tajwan został w ostatnich latach. Przyczyniły się do tego rosnące napięcia między Chinami i USA oraz kastracja polityczna Hongkongu za rządów Xi Jinpinga. Atmosferę rosnącej niepewności międzynarodowej podsycała potem wojna rosyjsko-ukraińska.

Tytuł okładowego tekstu „The Economist” z maja 2021 roku mówi wszystko: *Najniebezpieczniejsze miejsca na ziemi*. Choć artykuł rzetelnie przedstawiał tło, przyczyny i potencjalne konsekwencje napięć, można było w nim wyczuć pewien orientalizująco-paternalistyczny ton. Są na świecie znacznie niebezpieczniejsze miejsca, by wspomnieć Birmę, Jemen, Etiopię czy Sahel. Trudno porównywać je z bogatym i spokojnym Tajwanem, plasującym się na szczycie światowych rankingów bezpieczeństwa osobistego. Właśnie w tym rzecz: rozlew krwi w Birmie, Etiopii czy Jemenie mało kogo na świecie obchodzi. Tamtejsze walki nie mają wpływu ani na globalną politykę, ani na gospodarkę i przez to nie są w centrum zainteresowania najważniejszych

światowych mediów. W tekście „The Economist” nie wspomniano o nich nawet słowem. Natomiast gdyby wybuchła wojna o Tajwan, w ten czy inny sposób odczułby to cały świat.

Dzieje się tak z trzech powiązanych ze sobą przyczyn.

Pierwszą z nich jest technologia.

„To miejsce wytwarza piętnaście procent PKB wyspy” – mówi profesor Kuancheng Huang, oprowadzając mnie po kampusie uniwersytetu Yang Ming Chiao Tung (NYCU) w Hsinchu (Xinzhu), gdzie przyjechałem na wykłady. „Jesteśmy miejscowym Stanfordem” – podkreśla, gdyż kampus przylega do wielkiego, siedmiohektarowego parku technologicznego, który mieści 360 firm, stanowiąc ich intelektualne zaplecze. Uniwersytecki teren to chyba jedyne ładne miejsce w Hsinchu. Kiedyś była to niewielka wioska (jej nazwa znaczy dosłownie „nowy bambus”). Dziś jest to technokratyczne centrum informatyków i biznesmenów, oddalone od Tajpej niecałą godzinę jazdy szybkim pociągiem. Miasto jest tak brzydkie, że nawet przewodnik Lonely Planet, słynący z poprawności politycznej, przyznaje, że nic w nim nie ma. A jednak to właśnie tam, w Hsinchu, leżącym, o ironio, w największym miejscu Cieśniny Tajwańskiej, skąd najbliższej do kontynentalnych Chin, znajduje się klucz do globalnego znaczenia Tajwanu.

Kilka minut spacerem od kampusu w parku technologicznym mieści się siedziba główna Tajjidian (TSMC,

Taiwan Semiconductor Manufacturing Company Limited). To właśnie ta firma wytwarza zdecydowaną większość tajwańskich półprzewodników. W 2021 roku wyspa dawała światu 65% wszystkich półprzewodników (dystansując USA – 10% i Chiny – 5%), w tym aż 90% tych najbardziej zaawansowanych, jak choćby w technologii 5 nanometrów, najbardziej energooszczędnej. A dzisiaj chipy są jak kiedyś złoto, węgiel czy ropa. Na nich bazują nowoczesny przemysł, technika, medycyna i obronność, dzięki nim działają komputery, smartfony, pralki, lodówki, odkurzacze czy samochody elektryczne. Bez chipów upadłaby nasza oparta na szybkim przekazie informacji cywilizacja.

Zakłócenia łańcuchów dostaw w pandemii COVID-19 pokazały, jak ważne są chipy. Nagle zaczęło brakować części i niektóre maszyny stanęły. A to było tylko ostrzeżenie. Skończyło się na opóźnieniach i wzroście cen, świata to nie wywróciło. Sytuację mogłaby zmienić chińska inwazja na Tajwan. Przy całym swoim skoku cywilizacyjnym Chiny wciąż są uzależnione od importu najnowocześniejszych półprzewodników, dającego Państwu Środka około 85% wszystkich chipów. Chińczycy za wszelką cenę próbują gonić świat i mają w tym pewne sukcesy, na przykład szanghajskiemu Zhongxin Guoji (SMIC, Semiconductor Manufacturing International Corporation) udało się wytworzyć siedmionanometryowy chip, czyli taki, jaki Tajwańczycy z TSMC wyprodukowali w 2016 roku. Chińczycy są więc już tylko dekadę za czołówką, ale Amerykanie robią wszystko, by jej nie dogonili. Najpierw wzięli się

za Huawei, zakazując sprzedaży firmie półprzewodników, a następnie w październiku 2022 roku ograniczyli eksport chipów z tranzystorami poniżej 14–16 nanometrów do ChRL i wymusili exodus amerykańskich informatyków z Chin, grożąc im odebraniem paszportów. Działo się to tuż przed XX Zjazdem KPCh, było to więc po amerykańsku subtelne przesłanie do towarzyszy chińskich: „From USA with love”.

ChRL jest więc w kropce. Dopóki nie wyprodukuje własnych najnowocześniejszych chipów, musi je sprowadzać z Tajwanu, czemu stoją na przeszkodzie Amerykanie. Ewentualna chińska kontrola nad wyspą rozwiązałaby problem, odwracając ekonomiczno-technologiczny układ sił. Zajęcie Tajwanu byłoby porównywalne z tym, jak mogłaby się potoczyć druga wojna światowa, gdyby hitlerowskim Niemcom udało się podbić i wykorzystać roponośne tereny ZSRR.

Drugi powód globalnego znaczenia Tajwanu jest strategiczny.

Wyspa to „niezatapialny lotniskowiec” USA, zamykający Chinom wyjście na Pacyfik. Wraz z Filipinami, Japonią i Koreą Południową tworzy z perspektywy USA pierwszą linię obrony, powstrzymując Chiny przed dalszą ekspansją. W razie przejęcia kontroli nad Tajpej, Pekin całkowicie zdominowałby Morze Południowochińskie, czyniąc z niego wewnętrzny akwen. Zdobyłby również przewagę na Morzu Wschodniochińskim. Zagrażając Wyspom Japońskim, zepchnąłby strategicznie Tokio do defensywy. A potem miałby wolną drogę na

Pacyfik. To ostatnie akurat bardzo działa na amerykańską wyobraźnię, bo USA właśnie w ten sposób, tylko w odwrotną stronę, pojawiły się w Azji w XIX wieku: dzięki ekspansji morskiej przez Ocean Spokojny. Zajęcie Tajwanu przez ChRL oznaczałoby, że Chiny stałyby się wiodącą potęgą w najważniejszym dla światowej gospodarki miejscu. Pokojowe jego zajęcie groziłoby też dominacją technologiczną, a nie tylko ekonomiczną i handlową. Dla niechętnych konkurentów i przywykłych do własnej dominacji Amerykanów oznaczałoby to bolesną konieczność podzielenia się rządami nad światem. A to byłby definitywny koniec słabnącego Pax Americana, tak wyczekiwany w wielu miejscach świata, chociażby w Moskwie.

Ostatnią przyczyną szczególnego znaczenia Tajwanu jest ideologia.

Od końca lat osiemdziesiątych XX wieku Tajwan dokonał czegoś, wydawałoby się, niemożliwego w azjatyckich warunkach kulturowych: zdemokratyzował się. I to autentycznie, znacznie głębiej niż Indie, Japonia, Korea Południowa czy Indonezja. Dziś Tajwan jest jednym z najbardziej demokratycznych miejsc w Azji. Na tle autorytarnych, totalitaryzujących się Chin ma to duże znaczenie. „Obaliliśmy dwa mity – mówił mi Huang Chong-yan, sekretarz prezydentki Tsai Ing-wen – że Azjaci nie mogą mieć demokracji i że ich system polityczny musi być jak w ChRL”. Tajwańczycy nieustannie podkreślają wspólne wartości łączące ich z wolnym światem. Dla młodszego pokolenia identyfikowanie się

z ideałami demokracji stanowi filar tożsamości. A jednocześnie ideologia jest mocną kartą wyspiarzy w rozgrywkach politycznych. „Tajwańczycy chcieliby, aby wspomniano o ich demokratyzacyjnych osiągnięciach, jak wolne i uczciwe wybory, kobiece przywództwo czy równouprawnienie mniejszości seksualnych; by w kontekście praw człowieka mówiono o tym i tylko o tym” – wyjaśnia czołowy dyplomata Unii Europejskiej w Tajpej. Akcentowanie demokratyczności Tajwanu buduje atrakcyjny wizerunek na Zachodzie. W najgorszym razie ma pomóc, by USA i inni zechcieli umierać za Tajpej. Zajęcie Tajwanu przez totalitaryzujące się Chiny byłoby ideologiczną klęską wolnego świata, znacznie obniżającą globalną atrakcyjność demokracji.

Wyspiarze umiejętnie łączą swoje atuty. Prezydentka Tsai Ing-wen często mówi o Tajwanie jako ojczyźnie „demokratycznych chipów”, niezastąpionej dla współczesnego świata. Do tego położonej w centrum najważniejszego regionu globu, w sercu świata. Kombinacja tych trzech czynników: gospodarki, geografii i ideologii, czyni Tajwan nie tyle najniebezpieczniejszym miejscem na świecie, co kluczowym.

A to w dziejach wyspy nowość.

Piękna wyspa

Tajwan zawsze był zaściankiem. Świat zewnętrzny weń nie ingerował, co przez długi czas dawało spokój aborygenom tajwańskim, których krewni zaludnili Malaje, a nawet Hawaje i Wyspę Wielkanocną. Tajwanem nie przejmowały się ani Chiny, ani Japonia.

Dopiero Europejczycy w XVI wieku nadali mu nazwę Formoza. Jak głosi legenda, portugalski kapitan statku, zobaczywszy wyspę, miał wykrzyknąć „Ilha Formosa!”, czyli „piękna wyspa”. Istotnie, nazwę tę w pełni uzasadniają miejsca takie jak wąwóz Taroko, Jezioro Słońca i Księżycy, parki narodowe Alishan oraz Kenting, strome szczyty nad wioską Pingxi czy wybrzeże koło Jiufen, przypominające miniaturowe Rio de Janeiro. Przyrodnicza atrakcyjność wyspy jest niepodważalna.

Holenderska Kompania Wschodnioindyjska (Vereenigde Oostindische Compagnie, VOC) w 1624 roku rozpoczęła kolonizację części zachodniego wybrzeża wyspy, by zabezpieczyć swój handel z Japonią. Przy okazji Holendrzy zaczęli uprawę ryżu i trzciny cukrowej, sprowadzając do pracy Chińczyków. Szybko zwiększający swą liczebność chińscy osadnicy nazywali wyspę mniej poetycko: Tajwan – co dosłownie znaczy „taras zatoki”, choć tak naprawdę jest schińszczeniem lokalnej, aborygeńskiej nazwy. Obecność VOC nie odcisnęła się zbyt mocno na losach wyspy, o czym świadczą nieliczne holenderskie pozostałości, nie trwała również długo. W 1661 roku Holendrów przepędził Zheng Chenggong, zwany przez nich Koxingą. Ten chiński pirat umiał się znaleźć politycznie. Gdy odbierał Formozę Holendrom, w Chinach trwała wojna domowa między dynastią Ming a najeźdźczymi Mandżurami. Zdobywszy Tajwan, Koxinga z dnia na dzień przestał być bandytą, a stał się obrońcą zagrożonej ojczyzny. Z czasem, wraz z definitywną klęską Mingów,

Tajwan został ostatnim bastionem lojalistów upadającej dynastii. Sytuacja antycypowała więc tę z XX wieku: w kontynentalnych Chinach władzę przejęła już nowa dynastia, a zwolennicy poprzedniej schronili się na Tajwanie. Ostatecznie oddziały mandżurskiej dynastii Qing w 1683 roku zdobyły wyspę, pokonując potomków Koxingi i przyłączając Tajwan do imperium mandżursko-chińskiego. Dziś ChRL marzy o powtórce. To dlatego na wyspie Gulang w mieście Xiamen, po kontynentalnej stronie Cieśniny, komuniści wzniesli wielki pomnik Koxingi zwrócony ku Tajwanowi: przypominają wyspiarzom, jaki finał miała ta historia.

Za dynastii Qing Tajwan był końcem chińskiego świata, zaściankiem, miejscową Syberią, dokąd zsyłano więźniów i urzędników w niełasce. Regularnie wybuchały tam bunty – aborygenów przeciwko Chińczykom oraz samych Chińczyków – obchodzące cesarzy mniej więcej tak bardzo jak cara ucieczka Beniowskiego, i koniec końców zawsze krwawo tłumione. Dopiero w połowie XIX wieku Chiny na chwilę zainteresowały się bardziej wyspą, tuż po tym, jak zaczęli robić to Europejczycy i Japończycy. Korzystając z wymuszonego przez wojny opiumowe otwarcia Państwa Środka, zagraniczni kupcy zaczęli osiedlać się w Tajwanie. Dziś ich ocalałe rezydencje wyróżniają się wśród ogólnie mało imponujących zabytków Tajwanu. Pojawienie się zachodnich kapitalistów wraz z rosnącymi apetytami politycznymi Japonii doprowadziło dynastię Qing do brzemiennej dla aborygenów decyzji. Do tej pory chińska administracja ograniczała się

do zachodniego wybrzeża, górzysty interior i wschód zostawiając w spokoju, co hamowało chińską kolonizację Tajwanu. Teraz, bojąc się, że ubiegną ich inni, Chińczycy zajęli resztę, łamiąc aborygeński opór i przyczyniając się do rozprzestrzenienia chińskiego osadnictwa na większości terytorium wyspy. Politycznie nie na wiele się to zdało: w 1895 roku mandżurskie Chiny przegrały pierwszą wojnę japońsko-chińską, a zwycięska Japonia zagarnęła cały Tajwan jako łup wojenny.

Tokio uczyniło z Tajwanu modelową kolonię. Rozpoczęto udaną modernizację wyspy, rozbudowując drogi, koleje, porty, pocztę, telegrafy, inwestując w przemysł, administrację, edukację oraz elektryfikując kraj. Słowem, popychając Tajwan w stronę nowoczesności. Dziś o czasach japońskich przypominają też łaźnie publiczne rozsiane po całym kraju, a przede wszystkim imponujące gmachy publiczne, z pałacem prezydenckim w Tajpej, zbudowanym, jak dworzec główny w Tokio, w stylu japońskiej kopii europejskiej architektury.

Na Tajwanie okres japoński pozostaje niejednoznaczny. Niczym zabór austriacki w Małopolsce przyniósł postęp gospodarczy, awans cywilizacyjny, wyraźny rozwój techniczny, a do tego pewną autonomię dla miejscowej ludności. Cenę stanowiły relacje „równych i równiejszych”. Kolonialny układ był nieuczciwy, ale jasny i czytelny: miejscowi mogli zawsze zarobić, pod warunkiem że Japończycy zyskają więcej. Wielu Tajwańczykom to odpowiadało, zwłaszcza w porównaniu do późniejszej kolonizacji czasów Kuomintangu. Szczególnie na południu wyspy do dziś utrzymują się

silne projapońskie sentymenty, niczym galicyjska nostalgia za Austro-Węgrami: starsi ludzie uważają się za Japończyków i śpiewają japońskie piosenki; w ostatnich dwóch dekadach odnawia się również architektura z tamtego okresu. Renesans japońskości wiąże się jednak z podziałami politycznymi. Po przejściu wyspy przez Kuomintang chińscy nacjonałiści przynieśli ze sobą ostry antyjaponizm, dostrzegalny do dziś u ich potomków. Współczesny stosunek do japońskiego kolonializmu pozostaje wyznacznikiem postaw i tożsamości – zwolennicy tajwańskości i niezależności wyspy idealizują go, zestawiając pozytywnie z późniejszą administracją kuomintangowską, potomkowie czangkajszekowców z kolei demonizują czasy japońskie – nawiasem mówiąc, robią to całkiem podobnie do Chińczyków z kontynentu.

Tajwan powrócił do Chin po drugiej wojnie światowej, tak jak został od nich oderwany: jako łup wojenny. I tak też potraktowali go rządzący Państwem Środka kuomintangowcy. Niczym Sowietci nasze Ziemie Zachodnie, czangkajszekowcy łupili wyspę z wszystkiego, co cenne i mogłoby się przydać do odbudowy zrujnowanych kontynentalnych Chin. Ta miejscowa odmiana radzieckiego wyzwolenia, z witanymi z otwartymi ramiarami żołdakami odwdzięczającymi się kradzieżą zegarków, skończyła się wybuchem społecznym, zwanym w biurokratycznym żargonie „incydentem 2.28”. 27 lutego 1947 roku policja, surowo egzekwująca narzucony monopol na tytoń, zatrzymała sprzedającą nielegalnie papierosy sklepikarkę, a następnie ją pobiła.

To była iskra, która dzień później dała początek masowym protestom. Rozpoczęło się wymierzanie ludowej sprawiedliwości przybyłym „wyzwolicielem”: zlincozwano przynajmniej tysiąc przybyszów z kontynentu. Samosądy przybierały nieraz surrealistyczny wymiar. Ponieważ niemal wszyscy byli Chińczykami mówiącymi tym samym językiem lub podobnymi jego dialektami, chcąc sprawdzić, czy ktoś jest swój, czy obcy, podejrzanym nakazywano odśpiewać... hymn japoński, powszechnie przyswojony przez miejscowych, za to na kontynencie słabo znany.

Kuomintangowska administracja wprowadziła stan wojenny, ale straciła kontrolę nad znaczną częścią wyspy. Różnymi częściami Tajwanu zaczęły rządzić organizujące się oddolnie władze i lokalne milicje, aż 8 marca powstanie krwawo stłumiła przysłana z kontynentu regularna armia, zabijając, często w sposób makabryczny, od 18 do 28 tysięcy osób. Określenie dokładnej liczby nie jest możliwe, bo Czang Kaj-szek nie pozwolił nawet wydać ciał rodzinom i ich pochować, co z chińskiej perspektywy jest skrajnym barbarzyństwem. Dziś, gdy Tajwanem rządzą realni i duchowi potomkowie nieudanego zrywu, wydarzeniu nadano olbrzymie narodotwórcze znaczenie, poświęcono mu muzeum, pomnik i centralny park w Tajpej.

Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka – ten, który nakazał bezlitośnie stłumić protesty, Czang Kaj-szek, sam musiał po ponad dwóch latach uciekać na Tajwan przed zwycięskimi wojskami komunistów. Jego pozycję międzynarodową uratowała wojna w Korei, która

przywróciła chińskiego dyktatora do amerykańskich łask. Do tej pory traktowany jako nieudolny polityk i niesłowny wierzyciel (*cash my cheque, Chiang Kai-shek* – szydzili Amerykanie, którzy stracili w Chinach mnóstwo pieniędzy, finansując Kuomintang), w warunkach zimnej wojny Czang znów stał się ważnym sojusznikiem. Wojskowy parasol ochronny USA i podpisany w 1954 roku formalny traktat militarny uchroniły pobitych kuomintangowców przed podzieleniem losu następców Koxingi. Klęska w wojnie domowej i odwrót na wyspę, poza którą nie było dokąd uciekać – dalej rozciągał się już tylko bezkresny Pacyfik – podziałały mobilizująco na czangkajszekowców, dotychczasowych przegranych. Wkrótce dokonali cudu gospodarczego, w ciągu kilku dekad przekształcając Tajwan w bogaty kraj.

W polityce wewnętrznej ich rządy przypominały trochę te japońskie. Były, używając fachowego określenia, przykładem wewnętrznego kolonializmu. Po 1949 roku ponad milionowa armia kuomintangowskich uciekinierów: wojskowych, urzędników, nauczycieli, inżynierów, architektów i innych przedstawicieli elitarnych zawodów, szybko opanowała najważniejsze stanowiska i utrwaliła swoje wpływy. Owi przybysze, zwani *wai sheng ren* („ludzie spoza prowincji” lub „ludzie zewnętrznych prowincji”), zdominowali starszych osadników, zwanych *ben sheng ren* („ludzie tutejszej prowincji”, czyli po prostu „miejscowi”). Jedni i drudzy byli Chińczykami, lecz ci „zewnątrzni” byli równiejsi. W ich wizji Tajwan stanowił ostatni bastion Republiki